

## Rozdział czternasty

ROZKOSZNIE tuliła się do Mi-ira, wdzięczna losowi, że pozwolił jej jedynemu wyrwać się drapieżnym mocom krainy ciemności. Obawiała się, że ukochany sobie nie poradzi. Kto przy zdrowych zmysłach zadzierał z bogami? A może wysłuchiwała jej próśb Artemida, której wszystko, co miała złożyła w ofierze, zawijając dary w pszeniczną słomę?

— Jak to dobrze, że wróciłeś — wyszeptała, zarzuciwszy mu ręce na ramiona. — Twoja oblubienica umierała ze strachu. Ogarnęła ją groza. Była z żalu jedną nogą na tamtym świecie. Ale ty okazałeś się silniejszy niż myślała, potężniejszy od duchów ośnieżonych gór i władców mrocznych podziemi!..

Z cicha się roześmiał, słysząc te naiwne słowa. Momentami była naprawdę niemądra. Poprawił jej opadający kosmyk włosów.

— Nie jestem takim mocarzem jak przypuszczasz — przesądził. — Tym niemniej nie brakuje mi sprytu. Jeśli trzeba, umiem ruszyć głową.

Mimo wszystko na jego twarzy malowała się troska. Wrócił pamięcią do tego, co zobaczył na odległej asteroidzie, nie mogąc pojąć, jak to się stało, że istoty na niebosiężnym pułapie rozwoju tak dalece ugrzęzły we władzy niskich żądz. „Czy tak musi być w całym wszechświecie?” — z udręką zapytał swoich myśli.

Przyzwoitość nie zawsze szła w parze z techniką. Chociaż owi suwereni posiadli ogromną wiedzę o kosmosie, to jednak pozostali przy tym żenująco ordynarni i prostacy. Zabrakło im subtelnej równowagi między sukcesami na polu technologii a moralnością. Zapatrzeni w siebie, zadufani i niezdolni do wybaczenia win, nie mówiąc o okazywaniu słabszym serca, stwarzali wrażenie zagubionych i straszliwie powikłanych wewnątrz. Czy wszyscy u nich

tacy byli? Chodziło mu po głowie, że odkrył najbardziej kompromi-  
tującą słabość potężnej cywilizacji, sprawującej kontrolę nad rozleg-  
łymi konstelacjami gwiazdnymi. A może jednak nie wszyscy tak  
nisko upadli? Może przejściowy kryzys dotknął tylko zbiurokraty-  
zowanego aparatu władzy, systemu, który nieoczekiwanie się wyro-  
dził, nabierając okrutnych cech imperialnych?

Starca Mi-ir nigdzie nie zauważył. Rozglądał się za nim po o-  
bozie, a nawet zuchwale zajrzał do jego namiotu, by wreszcie z py-  
taniem o niego zwrócić się do zadumanej Ni. Urchitka przyjęła jego  
powrót z niezmałym spokojem i chłodną obojętnością. O dziwo,  
nie usiłowała ciągnąć go za język — nie skakała mu wściekle do  
oczu i nie zarzucała mu brawury, jak poprzedniego dnia wojowni-  
kowi. Może już sobie uzmysłowiła, że z ich podłym losem wiązać się  
nadal liczne niewiadome? Nieobecna myślami, zdradziła mu, że ma-  
tuzalem zamierzał go odszukać. Powiedziała, że udał się za nim w  
górze strumienia, święcie przekonany, iż tam go odnajdzie. Na ko-  
niec pocieszyła go, że brodacze niedługo wróci.

Podminowanego Urchity nie bawiło jednak czekanie. Męczył  
go natłok pytań. Jajogłowa ze sztucznego ciała niebieskiego zabiła  
mu klina. Za wszelką cenę pragnął się dowiedzieć, kim są immortu-  
si. Nie wątpił, że dopadnie starego i wycisnie go jak cytrynę, choć  
przy tym nie mógł uwolnić się od niepokoju. Lękał się, że zdekons-  
pirowany matuzalem da drapaka i że go nigdy więcej nie ujrzy.  
Z pośpiechem zjadł to, co podała mu Safona, a potem pognął w górę  
strumienia.

Siwobrody jednak nie zbiegł, ani nigdzie się nie ukrył, a Mi-ir  
natknął się na niego ponad wąwozem na skraju żywicznego lasu.  
Tacy jak on nie tracili ducha. Siedział na ogromnym głazie nieopo-  
dał strzelającej w niebo sosny i błędził wzrokiem po rysujących się  
w oddali ośnieżonych szczytach górskich. Mimowolnie się obejrzał,  
łowiąc kątem oka nadchodzącą postać, ale nie ruszył się z miejsca,  
ani nie sięgnął po kostur oparty o drzewo. Mi-ir dotarł do niego nie-  
co zadyszany. Nie bawił się w kurtuazję. Nie miał wyboru, musiał  
być nieugięty i bezwzględny. Wyjęty miotacz mierzył w błyszczącą  
od potu łysinę.

— Kim są immortusi, ty... ty... galaktyczny oszuście? — chark-

nał nienawistnie, gdy złapał oddech. Zażądał bezzwłocznych wyjaśnień.

Na nesterze jego broń nie zrobiła żadnego wrażenia. Zachowałyby się podobnie, gdyby to rozhasany szkrab popisywał się przed nim wystruganą z lipowego drewna zabawką. Powoli się wyprostował i Mi-irowi przez chwilę się wydawało, że ma przed sobą nie staro, ale młodego człowieka, a przy tym niezwykle energicznego.

— Byłeś na Taurosie? — jego głos sucho zabrzmiał. Siwobrody nie zamierzał przedwcześnie dzielić się swymi sekretami.

Mi-ir zawahał się, bo nie znał nazwy odległego zakątka w kosmosie, w którym krótko przebywał.

— Odwiedziłem jakąś... planetoidę — wbrew temu, co sobie obiecywał, okazał się skłonny do ustępstw. — Wybrałem... trójkąt, oznaczony sinusoidą — odpowiedział, mocując się z sobą.

Matuzalem z ulgą odetchnął.

— A więc byłeś — złożył dłonie w zamyśleniu. — Nakryli cię?!

Mi-ir nadal mierzył w rozmówcę. Jednak bez przekonania. Lu-fa opadała mu w dół.

— Nakryli? Jasne, że nakryli, psiamać, czyż mogło być inaczej?..

— Kto?! — pytanie zabrzmiało jeszcze ostrzej.

— Stary beznogi operator, który miał tam oko na cały hangar. Darł mordę, bowiem był przekonany, że wrócił jeden z was. Wykrzyczał się, a potem się odczepił. Później wzięła mnie w obroty jajogłowa z jaśniepańskimi manierami. Przybyła z miasta lśniącem czarnym bolidem. Wsiadła na mnie, święcie przekonana, że ma przed sobą ciebie, Raho — nie zamierzał kryć tego, że zna prawdziwe imię starca. — Ucięła sobie ze mną dłuższą pogawędkę. Fatalnie to zresztą się skończyło.

Siwobrody nie próbował usprawiedliwiać stawianych pytań. Dowiedział się, czego chciał, nie zważając na wycelowaną w siebie broń. Zaczął niespiesznie zaspokajać ciekawość Mi-ira.

— Nieśmiertelnicy? Pytasz o nich? — zagadnął, skory do odsłaniania kulis. — To pojawiający się okazjonalnie w obrębie różnych gatunków w kosmosie nietuzinkowi osobnicy. Rzadkie indy-

widua. Ha! Doskonale wtapiają się w otoczenie i dlatego niełatwo wpaść na ich trop. Wizualnie niczym się nie różnią od tubylców, wśród których żyją. Sami też żadnych różnic nie widzą. Nie zmienia to jednak faktu, że jest w nich coś niepokojącego i budzącego trwogę, ba, niemal graniczącego z grozą. A może z magią? Są... wiecznotrwali — użył tego dziwnego określenia, brzmiącego jak tytuł bóstwa. — I to dosłownie, przyjacielu! Nie mogą umrzeć, nie mogą polec na polu walki, nie można ich skrycie zwabić w pułapkę i podstępnie zgładzić — wyliczał. — Osłania ich niepojęta moc i chroni niezbadana wszechpotęga. Czy rozumiesz, o czym mówię? — stary spojrział na niego z niejakim wyrzutem, a może nawet z odrobiną zawiści.

— Nie — Mi-ir odparł zgodnie z prawdą. — Nie rozumiem.

Brodacz ciężko westchnął.

— Do licha, jak ci to unaocznic? — zniesmaczony zapytał. — Widzisz, wszechświat nie do końca jest taki, jak myślimy. Dyskutowy o grawitacji, czasie, prędkości, sile, przyspieszeniu, akcji i reakcji. Z pozoru w każdym punkcie przestrzeni obowiązują te same prawa fizyczne. Mówię: z pozoru, bowiem nie jest to tak oczywiste, jak byśmy chcieli. Spod niektórych praw fizycznych immortusi są wyjęci, przecząc tej fundamentalnej zasadzie. Można by odnieść wrażenie, że jedną nogą tkwią w wyższym eonie — nostalgicznie ciągnął. — Odwołam się do cenionego na twoim globie rachunku prawdopodobieństwa. Żywe organizmy są kruche, co sprawia, że łatwo je zmieść z powierzchni ziemi. Nie sposób temu zaprzeczyć. Jeżeli zdzielisz Urchitę toporem, tniesz go mieczem lub pchniesz włócznią, to zwalisz go z nóg i sprawisz, że już się nie podniesie. Czy to takie dziwne? Wie o tym nawet małe dziecko. Jednak ta prawda nie dotyczy wiecznotrwałego. Możesz próbować go wyeliminować — wolno ci, czemu nie — ale z góry wiadomo, że ci się nie powiedzie. Na przekór prawdopodobieństwu zamach na niego zostanie w niezrozumiały sposób przeniesiony na inny obiekt, a energia uderzenia się ześlizgnie. Coś go chroni, ale co? Do tego — jak dotąd — nie udało nam się dojść. To wielka zagadka.

— Starcze, przecież to wierutne brednie — odmówił mu racji Mi-ir, wsłuchujący się z uwagą w jego słowa. — Pleciesz trzy po

trzy, jak by ci się pomieszało w głowie, a tu chodzi o ważne rzeczy...

Transgalaktydyta się obruszył. Zatarł starcze dłonie.

— Mylisz się, to nie dyrdymały. Wiecznotrwałym nie można uczynić krzywdy i wysłać ich — mówiąc obrazowym językiem — do podziemnego świata cieni; do Hadesu, czy jak tego by nie nazywał. Nie powiem, próbowano, ale bezskutecznie. Dlatego ich istnienie jest wielkim ciosem w nienaruszalne podstawy naszej wiedzy. To upokarzający policzek dla transgalaktydów, a zwłaszcza dla najstarszych z rady. Zarozumialcy z Taurosa nie są w stanie z tym się uporać. Nie mają zielonego pojęcia, skąd biorą się takie istoty. Sporadycznie się pojawiają, to tu, to tam, i natknąć się na nie można w różnych galaktykach. Są jakby z innego wymiaru. Nie mamy pojęcia, czy prowadzą do niego jakieś drogi...

Mi-ir z uwagą go wysłuchał. Coś mu nareszcie zaczęło świtać w głowie.

— Czy my?!.. — niepewnie zapytał, pokazując brudnym palcem na siebie.

Starzec sapnął, zerkając na niego z odrobiną uznania.

— Nareszcie — z ulgą dokończył. — Domyśliłeś się. I ty, i Ni, i Mu-ur. Dlatego ocaleliście z katastrofy gwiazdolotu, chociaż nie mieliście szans przeżycia. Inni z kretesem przepadli, wy nie. Wam nie mógł spać włos z głowy...

— Nie do wiary! — nadal trapiła go myśl, że kuty na cztery nogi matuzalem mota mu w głowie. Podrapał się po nieogolonej brodzie, całkiem opuszczając broń. Odechciało mu się mierzyć w nestora. Zmienił nagle temat, przypominając sobie konwersację z jajogłową. — A dlaczego nie wykonałeś rozkazu, który otrzymałeś z Taurosa?..

Odpowiedź padła natychmiast.

— Do kroćset! — zagrały w starym emocje i nerwowo potrząsnął pięścią. — Był niedorzeczny, podobnie jak wiele innych, ostatnio wydawanych przez sukinsynów z rady. Mogę ci wszystko dokładnie zrelacjonować i niczego nie zataję — niecierpliwie dorzucił. — Cóż miałbym z mataczenia? Tym bardziej, że sporo się już sam dowiedziałeś, bez niczyjej pomocy...